



Przed głównym ołtarzem w piekarskim kościele parafialnym marmurowa płyta pokrywa grób wielkiego duszpasterza śląskiej ziemi, ks. Jana Alojzego Fiecka. Napis umieszczony na płycie nagrobkowej nazywa ks. Fiecka „sacerdos eximius” — kapłan wyjątkowy, niepospolity. Był istotnie nadzwyczajnym proboszczem dla swojej parafii, był opatrznościowym dziekanem dekanatu bytomskiego oraz kapłanem o szerokim horyzoncie mysiowym, działalnością swoją wykraczającym daleko poza granice swojej parafii czy nawet diecezji. Równocześnie był człowiekiem o głębokim życiu wewnętrznym i tak urobionym, że więcej oddziaływał raczej swoją osobowością aniżeli słowem pisanim czy mówionym, a kaznodzieją był wielkim i bardzo cenionym. Ujmował swoją osobowością nie tylko katolików, wierzących, ale nawet ludzi spoza Kościoła katolickiego umiając wszystkich wciągnąć do wielkiego dzieła pomnożenia chwały Boga i Jego Najświętszej Matki.

We wsi Dobrzyń Wielki niedaleko Opola mieszkańcy z dumą i radością wskazują za grodem Fiecków, w której urodził się Jan Alojzy Fiecek, jako jedno z 16 dzieci Józefa i Marii z domu Pampuch. Z domu rodzinnego wyniósł umiłowanie pobożności i wielkie nabożeństwo do Matki Bożej. Jego droga do kapłaństwa była trudna. Niezamożni rodzice, po wyczerpaniu możliwości finansowych rodziny na studia teologiczne syna Sebastiana — był księdzem od roku 1891 — dla młodszego syna, Jana, przewidzieli zawód nauczycielski. Przygotowywał się do nauki młody Jan u nauczyciela Ludy w Strzeleckach, a nie mogąc płacić za naukę, po prostu odrabiał swoje należności, pełniąc u nauczyciela posługi domowe lub wypasając bydło.

W 17 roku życia udał się do seminarium nauczycielskiego w Głogówku, gdzie przygotowywano kandydatów z polskiego środowiska do pracy w szkołach z polskim językiem nauczania. Po dwuletnim pobycie w seminarium skierowany został przez władze szkolne na stanowisko nauczyciela do Krapkowic. W późniejszych latach ks. Fiecek często wspominał wydarzenia z drogi do Krapkowic, gdy odmawiając udziału w

Ks. J. Pawlik

Ks. Jan Alojzy Fiecek w setną rocznicę śmierci



głębokiej zabawie karczemnej nazwany został świętoszkiem i księszozkiem. To przypominało mu pożegnalne słowa rektora seminaryjnego z Głogówka, Brinsena: „ty mi więcej wyglądasz na księdza aniżeli na nauczyciela.”

Dziewiętnastoletni Fiecek zrezygnował z zawodu nauczycielskiego i zapewnionej przyszłości, wybierając drogę do kapłaństwa, która to droga dla niego nie miała być łatwą. Musiał nadrobić cały program nauki gimnazjum klasycznego własnymi siłami. Po moc miał zapewnioną dopiero po dwu latach wytrwania w swym postanowieniu i wykazaniu się wynikami w nauce. Dwa lata nauki w gimnazjum w Opolu nazywał Fiecek bardzo trudnymi, bo nie raz całe pożywienie stanowił tylko chleb, a jedyne ogrzewanie małego pokoiku dawała rozpalona w kuchni cegła. Wierność postanowieniu i pragnieniu kapłaństwa przeprowadziły młodego Fiecka

przez te trudne lata. Następne lata, podczas nauki w gimnazjum we Wrocławiu, miał już lżejsze dzięki pomocy wuja ks. Sobiecha, przekonanego o szczerości zamiarów kan dydata do kapłaństwa.

Rzeczony w roku 1814 studia teologiczne na Uniwersytecie Wrocławskim przerwał i przeniósł się do Krakowa, by uniknąć służby w pruskim wojsku. W drodze do Krakowa odwiedził po raz pierwszy kościół i Obraz Matki Bożej w Piekarach. Studia w Krakowie ukończył z wynikiem celującym i święcenia kapłańskie otrzymał w r. 1817 z rąk Ks. Biskupa Woronicza.

Mszę św. prymicyjną odprawił w Ligocie Turowskiej u swego brata — księdza Sebastiana, z udziałem rodziców i krewnych. Na pierwszą placówkę duszpasterską skierowano ks. Fiecka do Czeladzi w charakterze wikarego. W r. 1820 objął parafię w Ziemięcicach, gdzie pracował jako proboszcz przez 6 lat. Za-

piski w księgach parafialnych świadczą między innymi o do broczynnej działalności ks. Jana Fiecka w Ziemięcicach, szczególnie o jego pomocy udzielanej pogorzelncom.

Po 6 latach, ulegając namowom ks. dziekana Włodarskiego, przeszedł do parafii w Piekarach. wolnej po śmierci ks. Nitscha. Parafia Piekary liczyła w r. 1826 co prawda tylko ok. 500 dusz, jednak w okresie odpustów świąt gąły do Piekar tysięczne rzesze pątników. Młody proboszcz podjął pracę duszpasterską dla jednych i drugich. Jako gorliwy kapłan bolał bardzo nad ciasnotą dotychczasowego kościoła drewnianego i od pierwszych lat swej pracy w Piekarach myślał o budowie nowego kościoła, który miał być godnym mieszkaniem Boga i świadectwem nabożeństwa do Matki Najświętszej.

Gorliwy czciciel Maryi wprawdzie w Piekarach nabożeństwa majowe, własnym kosztem drukował modlitwy i pieś ni maryjne, rozpowszechniając je wśród swych parafian. Jak bardzo przejęty był obowiąz kami pasterza parafii, świadczy fakt zrezygnowania z urlopu zdrowotnego, gdy w parafii wybuchła cholera w 1830 r. Chciał być blisko swoich parafian w trudnych dniach i osobiście odwiedzał chorych i konających. W ogóle chorzy, starzy i biedni doznawali szczególnej opieki ks. Fiecka, który prawie że dzie lił się z nimi tym, co posiadał, i serdecznie troskę im okazywał, ilekroć zjawiali się na piekarskim probostwie. Sam chętnie słuchał spowiedzi św. od wczesnego rana nieraz do późnej nocy i chęć osobiście spełniać ten zasadniczy obowiązek duszpasterski nie pozwolił się wyręczać wikarym nawet w chorobie, jak o tym pisze ks. Pressfreund, długoletni wikary u ks. Fiecka. Jeszcze w ostatnim dniu swego życia słuchał spowiedzi św. mimo wielkiego osłabienia chorobą. Również i w sąsiedztwie, poza swoją parafią, chętnie pomagał konfratrom w konfesjonale i spowiadał przez długie godziny.

Do obowiązków swoich duszpasterskich nie przystępował nigdy, zanim w modlitwie na konarach nie wezwał pomocy Bożej. Parafianom swoim nie tylko mówił o modlitwie, ale

(ciąg dalszy na str. 2)

(dokończenie ze str. 1)

Jako prawdziwy mąż modlitwy wskazywał swoim życiem na znaczenie i wielkość modlitwy. Często mawiał do swoich parafian: „Modlitwa przy sposobie nasze serce nie do tego, byśmy naklonili Pana Boga do udzielania nam dobrodziejstw, ale raczej, byśmy pochopniejszymi byli do odbierania takowych z rąk Ojca Niebieskiego.”

Jako proboszcz wiele czasu poświęcał modlitwie za swoich parafian i dla modlitwy za zmarłych umiał przerwać swoje zajęcia, gdy dzwon kościelny dawał znak o śmierci któregoś z parafian. Celem uproszenia błogosławieństwa bożego dla pracy duszpasterskiej oraz dla swoich parafian, po spełnieniu swych obowiązków spędzał w kościele niejedną godzinę na nocnej adoracji nawet w zimowej porze. Nie zanichał tej nocnej adoracji przed Najśw. Sakramentem nawet w czasie choroby, mimo perswazji współpracowników. Wielką wagę przywiązywał do nabożnego odmawiania brewiarza. Nie tylko, że go nigdy nie opuścił, ale z pobożnej modlitwy brewiarzowej czerpał siły i moc do utrzymania się na wyżynach kapłańskiego życia. Nawet kilka godzin przed śmiercią, mimo wielkiej słabości, gdy księża radzili mu, by się położył, ks. Fiecek zwraca uwagę, że jeszcze nie odmówił pacierzy kapłańskich. Obok tych oficjalnych pacierzy pielęgnował ks. Fiecek też modlitwę prywatną. Nie opuścił ani jednego dnia odmówienia Godzinek do Najśw. Maryi Panny, jak też i koronki oraz litanii. Modlitwy te często odmawiał wspólnie z swym bratem Sebastianem, który ostatnie swe lata przeżył na probostwie w Piekarach.

Do kazań przygotowywał się bardzo sumiennie. Miał bo-

Ks. Jan Alojzy Fiecek w setną rocznicę śmierci

wiem wiele szacunku dla słowa głoszonego na ambonie. Słuchający kazań parafianie wyczuwali tę staranność w przygotowaniu i dlatego zapewne lud słuchał chętnie jego kazań. Nie były to słowa górnolotne, ale proste, a za to głębokie i podczas długich rozmyślań wypracowane. Dlatego zasłynął jako zawołany kaznodzieja i często był zapraszany z kazaniami do sąsiednich parafii. Często powtarzał znane przysłowice o kaznodziejach: „Kto wstępuje bez pracy, ten zstępuje bez zapłaty”.

Jednak nie tylko słowem przemawiał ks. Fiecek do swoich parafian. Budował ich swoim przykładem. Znany był szacunek ks. Fiecka dla swoich rodziców. Kiedy z powodu choroby jego brat, ks. Sebastian, nie mógł już spełniać kapłańskich obowiązków, sprowadził go ks. Fiecek do siebie na probostwo do Piekar i, jak tylko mógł, starał się o wszystkie jego potrzeby. Wykazywał przy tym wielce cierpliwość i wyrozumiałość dla chorego człowieka.

Czynne miłosierdzie wypełniło wielką część życia ks. Fiecka i dawało świadectwo wielkości jego serca. Z trudnych lat swojej młodości dobrze pamiętał, jak bardzo potrzebne jest okazywanie serca drugiemu człowiekowi. Bogu tylko wiadomo, ile pieniędzy wydał na dobre cele, na dobroczynne zakłady czy bractwa. Choć sam potrzebował pieniędzy do realizowania swoich planów, umiał przysyłać większe kwoty pieniężne dla ubogich, jak to miało np. miejsce w wypadku darowizny na konwikt dla biednych chłopców we Wrocławiu właśnie w czasie bu-

rowania kościoła piekarskiego. Szczególną opieką otaczał kandydatów do stanu duchownego. Chcąc ułatwić im przygotowanie, pomagał im w swoich prywatnych dochodach, a gdy samemu pieniędzy nie starczyło, szedł prosić do znajomych, by niezamożność nie przeszkodziła w osiągnięciu kapłaństwa. Wśród wielu, którzy doszli do kapłaństwa dzięki pomocy ks. Fiecka, można wymienić ks. Kunę, ks. Pressfreunda, O. Kubaczka.

Dalszym realizowaniem czynnej miłości bliźniego była gościnność, z której słynął ks. Fiecek. Piekarska fara znana była ze swej gościnności daleko poza granicami Śląska. Piszce o tej szczerej gościnności ks. Fiecka bywający na farze piekarskiej ks. Antoniewicz. W swoich pamiętnikach poświęca tej enocie ks. Fiecka bardzo wiele ciepłych słów i wyraźnie podkreśla, że ks. Fiecek przyjmował na farze wszystkich jako braci bez względu na stanowisko.

Przyjeżdżający księża czuli się tu, jak w domu.

Przyjeżdżali księża nie tylko z okolicy, ale także z zagranicy. Ks. Antoniewicz wspomina w listach, jakiego to serdecznego przyjęcia doznał u ks. Fiecka wypędzeni Księża Jezuiti. Za tę gościnność swoją doznał ks. Fiecek nawet sztykan ze strony władz. W święto Trzech Królów 1846 r. przyszedł na piekarskie probostwo pruski żandarm, by zrewidować, kto się tam znajduje. Przebywał na probostwie przez dłuższy czas dla jego pilnowania. Nie zraziło to Ks. Fiecka. Z pogodą ducha przyjął to upokorzenie.

We wspomnieniach o wspólnym życiu z swoim proboszczem ks. Fieckiem podkreśla ks. Pressfreund wielkie poczucie

humoru i pogodę ducha ks. Fiecka; według jego relacji ks. Fiecek lubił sam opowiadać lub słuchać, gdy inni opowiadali wesołe anegdoty. Przestrzegał też ks. Fiecek zasad życzliwego współzycia i dlatego nigdy nie pozwalał, by mówiono źle o bliźnich w jego domu. Obok wielkiej gościnności odznaczał się umiejętnością spędzania czasu, tak bardzo potrzebną kapłanowi. O zamilowaniu do książki świadczyła biblioteka ks. Fiecka, licząca około 3 tysiące książek w języku polskim, łacińskim, włoskim i niemieckim. Widać nie szczędził pieniędzy na poważne i dobre książki.

Mimo wielkiego wzięcia i szacunku, którym otaczano ks. Fiecka, cechowała go głęboka pokora. Nigdy nie lubił mówić o sobie, ani podkreślać swoich zasług albo czynów. Choć posiadał znajomości wśród biskupów czy nawet i królów, nigdy nie powoływał się na nie. Odznaczony dla swojej pracowitości i gorliwości godnością dziekana i kanonika, a przez króla także orderem Czerwonego Orła, zawsze nazywał siebie niegodnym sługą i „pieskiem Maryi”. Zewnętrznym wyrazem tej pokory ks. Fiecka był jego ubiór; nie przywiązywał do tego zbyt wielkiej uwagi. Otrzymał przy okazji nową sutannę podarował swemu wikaremu z uzasadnieniem, że jemu jest bardziej potrzebna. Nigdy nie kochał się w posiadaniu dóbr ziemskich: używał je tylko za pożyteczne środki do sprawienia radości lub uszczęśliwienia innych. Dlatego też nie żałował ich utraty, co się nieraz zdarzało. Dla swoich przełożonych, miał wielki szacunek i poważanie. Wyrazem tego szacunku było czytanie listów czy zarządzeń przełożonych na stojąco i z odkrytą głową.

(dokończenie nastąpi)

Miłość to nie używanie

Mówił o wielkiej miłości. Obiecował tyle szczęścia. Prócz niej nie chciał znać żadnej dziewczyny. Ona zaś odnosiła wrażenie, że słodycz każdego jego słowa przewyższa wszystkie nektary świata. Często się skarżył wobec niej, o jaką to mękę przyprawia go ich tygodniowa rozłąka. Uprzejmie, z całą przychylnością przyszłego zięcia kłaniał się jej rodzicom. A ponieważ byli religijni, często kierował rozmowy na miłe im tematy, okazując przy tym wielkie zainteresowanie pięknymi nabożeństwami, jakie odbywają się w jego rodzinnej miejscowości. Mama była zachwycona. Tatusz pełen podziwu zwłaszcza, gdy ten bądź co bądź młody człowiek z całą

powagą i zrozumieniem dojrzałego mężczyzny potępiał tych, którzy w swej podłości krzywdzili własne żony, pomimo złożonej kiedyś przysięgi wierności i miłości...

Ona teraz nie może pojąć. Usiadła w ten smutny wieczór przy łóżku, skąd dochodził ją spokojny oddech niemowlęcia i postanowiła spróbować jeszcze raz sobie odpowiedzieć na pytania: Dlaczego ją porzucił? Skąd się zrodziły owe bezpodstawne pretensje? Jak mogło dojść do tego, że słodkie obietnice zamieniły się na obrzydliwą przekleństwo, a czule słowa na wulgaryzm wyzwisk. Przecież ona go tak kochała... Wreszcie usłyszała odpowiedź: Wyrwała się ona gdzieś z głębin zbolalej duszy jękiem śmiertelnie zranionego ptaka: „Szuwał i kochał nie ciebie, ale siebie”.

Piękne słowa nie zawsze płyną z pięknej duszy, a miły uśmiech niekoniecznie wyraża życzliwość. Skąd bierze się jednak ta bolesna dwiistość? Czy to nie ten sam mężczyzna, który był kiedyś tak nilym w objęciu, polczas gdy dziś znieważa swą towarzyszkę życia. Snuł przecież wobec niej perspektywę, nieczym nie zamężonego małżeńskiego szczęścia. A jeśli nie kochał, to jak wytłumaczył dziwną uobroć, którą bądź co bądź przez długi szereg miesięcy wytrwale okazywał? Dziś zresztą podobnym arsenalem uprzejmych słów otacza swoją koleżankę z biur...

Odpowiedź jest jedna a zasadnicza: człowiek ten miał wypoczone pojęcie miłości. Po stawiał znak równości między słowami: miłość i używanie. Nie szukał towarzyszy życia, lecz przedmiotu rozkoszy. Nie widział osoby, ale jedynie ciało, które miało zaspokoić zmysłowe pożądania. Nigdy

nie pomyślał o tym, że prawdziwa miłość polega nie na braniu, ale na dawaniu, na wyrzeczeniu się dla ukochanej osoby. A tego wyrzeczenia się wymaga zwłaszcza małżeństwo. Tu właśnie nie zdają egzaminu życia wszyscy „użytkownicy” miłości. Podchodził po kupiecku do przedmiotu swej miłości. Jedynie dlatego okazywał w narzeczeństwie tyle dobroci, że za tę cenę chciał zdobyć rzecz, którą przyniesie mu, jak się spodziewał, o wiele więcej korzyści, niż kosztował go wysiłek wielomiesięcznego udawania. Jest to nastawienie po dobne, jakie ma wędkarz do ryba, która chce złowić. Wyczekuje nieraz bardzo długo, nie zawsze przy dobrej pogodzie. Nęci ją obietnicami smacznego pokarmu. Nieszczęsna ta rybka, co nie rozróżni prawdziwego pokarmu od niebezpiecznej przynęty. Nikt przecież jeszcze nie posadził wędkarza o miłość do ryby.

Ks. A. Skrobel

Na dworze hulał wiatr. Stały Wojciech siedział za piecem, wyciągając z rozkoszą w stronę ognia swe sterane pracą i reumatyzmem ści.

— Będzie deszcz — zauważył.

Ponieważ jednak nikt nie odpowiedział, pogrzyżył się po nownie w milczeniu. Potem za człą przyglądał się pracy synowej, która krzątała się koło stołu, przygotowując obiad.

— Dobra, kochana Marta — pomyślał i westchnął. — To już nie ta sama kobieta sprzed kilku laty. To już nie te same czasy co dawniej. Ciekawe, jak się to życie zmienia.

Wojciech przypomniał sobie lata swej młodości, przypomniał sobie przedwczesną śmierć swej żony, a potem małego, rozczochranego, wicz nie roześmianego synka, którego mu pozostawiła. Przypomniał sobie poszczególne etapy swojego życia. Tak, to prawda, że zaniedbywał wiele w jego wychowaniu, ale czy on — ojciec ciągle zapracowany, utrzymujący w dodatku niewidomą teściową, mógł synowi zastąpić matkę? Nie, tego nie potrafił. Tego nie potrafił żaden mężczyzna. Zresztą, nie miał powodów do narzekań. Mimo pewnych niedociągnięć kształtował jednak dobrze jego charakter. Jego mały Edward wyrósł na mężczyznę bez nałogów.

Ożenił się z cichą, pracowitą i pobożną dziewczyną z sąsiedniej wioski i od tego czasu jego szczęście — jak się wydawało — było zapewnione. Wojciech przypomniał sobie słowa wypowiedziane synowi w dniu ślubu:

— Edwardzie, nie żądam dla siebie niczego oprócz cichego kąta na starość. Jak ja kiedyś opiekowałem się twoją niewidomą babką, tak ty mnie na starość nie opuścisz. Jestem o tym przekonany, dotychczas bowiem byłeś dobrym synem. Nie to jednak jest ważne, bo ja w życiu wiele zniosłem i wiele jeszcze znieść potrafię. Jeśliby jednak Marta miała z twojego powodu doznać jakichkolwiek zgryzot, wtedy wiedz, że przestaniesz być moim synem. Wtedy też opuszczę dom moich ojców i udam się na tułaczkę. Nie mógłbym bowiem żyć pod dachem, pod którym panuje zgorzelenie.

Od tego czasu ich życie płynęło spokojnie i szczęśliwie. Edward zarabiał dobrze, Marta zarabiała coś niecoś szcikiem, a stary Wojciech zajmował się wypłataniem koczy i słomianek. Dzięki temu kasa domowa nigdy nie była pusta.

Prawdziwym skarbem była ich córka, Róża; ciągle roześmiana, rozśmieszała również swe otoczenie i napełniała wesołe całe dom od piwnicy aż po dach. „Rośnie — mawiał Wojciech — tam, gdzie jej nikt nie zasiał.” Wszyscy się w niej kochali, najbardziej

Jednak dziadek. Był w niej wprost zadurzony. Do niego też dziecko łągło njbardziej. Nikt nie potrafił chodzić na czworakach jak on i nosić ją na swym grzbiecie. Nikt nie opowiadał jej tyle bajek i nie patłał z nią takich figlów, jak właśnie dziadek. Ciągle też byli razem. Gdy dziewczynka zniknęła czasem na pół godziny w rozciągającym się za ogrodzeniem zagajniku brzozywowym, dziadek natychmiast wyruszał na poszukiwania. Wtedy obydwójce uganiał się po całym lesie, aż wreszcie zmęczeni, ze śmiechem wracali do domu.

W zagajniku tym było wiele

słowa, które wyrzekł do niego w dniu ślubu. Skutek okazał się inny, niż przypuszczał: od tego czasu Edward przestał narzekać, za to wracał do domu później niż dotychczas i zawsze pijany. Zaniedbywał rodzinę i dom, nie oddawał żonie pieniędzy. Gdyby Marta nie zarabiała szcikiem, nad ro dziną zawisłaby nędza, gdyż renta, jaką pobierał Wojciech, nie mogła wszystkim zapewnić utrzymania. Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Wojciech teraz dopiero zrozumiał, że nie może opuścić domu, jak to kiedyś zapowiedział. Nie mógł tego uczynić ze względu na Martę i jej

blizu domu. Myślałem, że może wróciła.

Marta, nic na to nie odpowiadając, wybiegła z domu. Wojciech pobiegł jeszcze do sąsiadów, mimo że wnuczka prawie nigdy do nich nie zachodziła. Po chwili wrócił jednak z niczym. Z lasu dochodziły nawoływania Marty. Nagle Wojciech usłyszał jej rozpaczliwy krzyk. Natychmiast pobiegł w kierunku lasu. Na drodze zetknął się z powracającym skądś, jak zwykłe pijanym synem.

— Co się stało? — wybełkotał Edward.

Wojciech nic nie odpowiedział, tylko biegł, na ile pozwalały mu jego zmęczone płuca. Za nim pobiegł chwiejnym truchtem syn. Gdy przebili się przez krzaki, stanęli nagle jak wryci. Edward wytrzeźwiał w jednej chwili.

Zrozumiał, że ponosi odpowiedzialność za dramat, który się tu przed chwilą rozegrał. Przed nim leżała Róża, w zaciśniętej wokół piersi pętle, którą Marta starała się rozpaczliwymi ruchami rozluźnić. Róża wpadła więc w sidła, które jej ojciec nastawił na sarny, aby zarobić na wódkę.

Edward odepchnął płaczącą żonę, szarpnął drut, przecinając sobie przy tym palce i wydobyl córkę z pętli. Chwycał ją za rękę, aby zbadać, czy puls jeszcze bije, przykładał ucho do piersi. Całował zsiniałą twarz, przerażając przy tym do swego dziecka najczulszymi słowami. A potem położył ją ostrożnie na puszysty mech. Zrozumiał, że na pomoc jest już za późno. Nadszedł o kilka minut za późno. A raczej, za długo siedział w knajpie. Stał, jak sparaliżowany. I wtedy kilka chwil wystarczyło na dokonanie obrachunku z przeszłością, na złożenie aktu samookarżenia, że stał się przestępcą wobec Boga i ludzi.

Gdy się zbudził z zamyślenia, nikogo przy nim już nie było. Ojciec i żona zabrali dziecko do domu. Pobiegł wtedy do groty i wyciągając ręce do figury Matki Bożej krzyknął: — „Matko, jeśli ją uratujesz, nigdy Ci tego nie zapomnę”.

Dziewczynka żyła. Pomoc na desza w ostatniej chwili przed całkowitym uduszeniem. Jednak przemoczenie i zziębnięcie spowodowało ostre zapalenie płuc. Róża zaczęła majaczyć. Troje kochających ludzi stało nad jej łóżkiem i zanosiło modły do Boga, łowiąc równocześnie każde jej słowo, każdy szept. Ojciec nie odstępował jej na krok. Wiedział, że całą winę ponosi on sam. Złorzeczył wszystkim tym, którzy doprowadzili go do upadku, przeklinał wódkę, dla której poświęcił szczęście

(ciąg dalszy na str. 7)

ALOJZY HENKEL

Nie lubię patrzeć, jak mama płacze

sce, które dziewczynka szczególnie często odwiedzała: mała grota z figurą Matki Bożej.

Grotę tę zbudował kiedyś Wojciech na prośbę swej żony, a później odnowił ją Edward. Róża polubiła bardzo to miejsce. Tam bowiem jej matka spędzała z nią wielokrotnie wolny czas, opowiadając jej wiele o Bożym Dzieciątku i Jego Matce, o wiecznej szczęśliwości i o po- tępieniu.

Stary Wojciech, natrafivszy czasem na taką scenę, siadał na miękkim igliwiu i w skupieniu wsiuchiwał się w melodyjny głos Marty. Wtedy jego poorana zmarszczkami twarz jaśniała, a w serce wstępowała jakaś nowa otucha. Jedno go ciągle boleło: nie widział mianowicie przy grocie nigdy swego syna. Nie mógł zrozumieć, że serce młodego mężczyzny nie jest tak tkliwe i zdolne do wzruszeń, jak to się zdarza u kobiet, dzieci lub starych ludzi. Nie rozumiał zresztą jeszcze wielu innych rzeczy. Mniemał zawsze, że zna naturę swego syna na wylot, a tymczasem...

Dlaczego na przykład, po kilku latach szczęśliwego pożycia małżeńskiego, Edward stał się nagle jakiś inny, nieomiał obcy? Dlaczego jego wierz nie wesoly syn stał się nagle szorstki i opryskliwy? W czym tkwiła przyczyna? Zrozumiał to w końcu, lecz wtedy było już za późno. Zrozumiał to pewnego wieczoru, gdy Edward przyszedł do domu pijany. Na łagodne wymówki ojca odpowiedział wprost, że nie pozwoli trzymać się na uwięzi i nie chce pędzić w dalszym ciągu tak ponury żywot.

Od tego czasu Edward coraz częściej wracał do domu pijany. Nie pomogły lzy Marty, nie pomogły perswazje starego ojca, Edward ugryzał w towarzystwie kolegów, których przewodnikiem była wódka. Wtedy ojciec podszedł jeszcze raz do niego i przypomniał mu

dziecko. Mimo wszystko miał nadzieję, że syn rzuci wódkę i kolegów i stanie się znów człowiekiem, jakim był dawniej. To przecież niemożliwe, by cała praca nad wychowaniem syna poszła na marne. Przecież ani synowa, ani wnuczka nie zasłużyły na taki los. To życie musi się w końcu odmienić.

Podobne myśli zaprzętały umysł Wojciecha coraz częściej. Tak też było dzisiaj, kiedy siedział zgarbiony za plecami i patrzył niewidzącymi oczami na fajkę w swych rękach. Z zadumy zbudził go dopiero głos Marty. W pierwszy chwili nie mógł się zorientować, o co chodzi.

— Róża nie ma w domu — powtórzyła Marta. — Myślałam, że bawi się obrazkami, ale w pokoju jej nie ma. Czy nie była z wami, ojciec, w szopie?

Stary oprzytomiał w jednej chwili.

— Róża? Tak, była ze mną w szopie, kiedy rąbałem drewno, ale po chwili wyszła. Byłem pewny, że poszła bawić się do domu. Czy przypadkiem nie poszła do groty? Jeszcze się przeziębili.

Wziął czapkę i wyszedł. Na progu doszło do jego uszu westchnienie Marty, która żalila się, że Edwarda znowu tak długo nie ma. Odwrócił się, aby coś odrzec, zrezygnował jednak z tej myśli i wyszedł. Przez pewien czas słyszała Marta jeszcze jego nawoływania, które w końcu umilkły.

— Z pewnością znalazł ją — pocieszała się, spoglądając równocześnie w okno z pewnym niepokojem. Deszcz zaczął bowiem padać coraz bardziej.

Wojciech wrócił po kwadransie, bez wnuczki.

— Przy grocie jej nie ma. Szukałem w całym lesie, bez skutku. Potem wydawało mi się, że słyszę jej głos w po-

Jak Bóg mierzył stopień wiary Abrahama najbardziej dla niego dotkliwą ofiarą, jakby wyrzeczenia się ojcostwa, podobnie doświadczą wiary Najśw. Panny Maryi, stawiając Jej do wyboru przyjęcie względnie nieprzyjęcie Bożego macierzyństwa. U Abrahama Bóg żąda zwrotu tego, co dał, zwrotu ojcostwa. W Nazarecie Bóg daje macierzyństwo tego rodzaju, że nie mieści się w granicach możliwości i natury człowieka, macierzyństwo niepojęte i niemożliwe do przyjęcia. Bóg, znając na wylot człowieka, ułatwia mu przyjęcie prawdy, przekraczającej granice jego rozumu. Dlatego Gabriel przekonuje jakby Maryję do przyjęcia Bożego macierzyństwa. Podaje Jej dwa argumenty ku rozważeniu.

Pierwszy argument archanioła brzmi: „Duch Święty zstąpi na Ciebie i moc Najwyższego ogarnie cię niby cień”. Argument ten pochodzi w prostej linii z logiki Boga.

Argument drugi brzmi: „Także Elżbieta, krewna twoja, mi mojej starości poczęła jeszcze syna...”, bo nie ma nic niemożliwego u Boga”. Co za ciepło bije z niego, jaka dyskretna i sugestywna w nim ukryta prośba. Prawdziwy argument serca. Rozszerza ramy logiki ludzkiej o widnokrąg Bożego myślenia. Gdyby wypadło, można by ten argument nazwać po prostu zabieganiem Pana Boga o „względy” człowieka.

Drugim argumentem Archanioła jest dwuczłonowy. Faktyczne macierzyństwo Elżbiety może Maryja sprawdzić w każdej chwili. Jest rzeczywiste, nie ulegające żadnej wątpliwości. Człon drugi argumentu stanowi zasada, określająca istotną cechę Pana Boga, u którego nie ma niemożliwego.

Macierzyństwo jest dla kobiety czymś bardzo istotnym. Dotyka ją najbardziej osobiste, wyciska na jej osobowości niezniszczalne piętno i, podobnie jak ojcostwo, wiąże człowieka w tajemniczy sposób z wszechmocą Bożą. Jest przedziwnym współdziałaniem praw przyrody z tajemnicami życia w ogóle, zarcherwowanymi wyłącznie Bogu.

Macierzyństwo Boże, zapowiedziane przez Anioła w Nazarecie i przyjęte przez Maryję, jest wyłączną tajemnicą Boga. Dla człowieka jest całkowicie niedostępne, ani rozumem, ani wyobraźnią. Jest tylko jeden sposób przyjęcia go jako prawdy, mianowicie wysiłkiem wiary.

Najświętsza Panna Maryja zdaje tedy w Nazarecie daleko trudniejszy egzamin z wiary niż Abraham. Czymże jest wyrzeczenie się własnego syna wobec przyjęcia macierzyństwa w stosunku do Bożego Syna? Archaniołski egzaminator Maryi żąda odpowiedzi

Argument Archanioła

na dwa niezwykle trudne pytania: czy wierzy w fakt Bożego macierzyństwa i czy je przyjmie?

Teraz jest bardziej zrozumiałym brak wszelkiego uzasadnienia anielskiego żądania, po stawionemu Abrahamowi, oraz dwa argumenty, uzasadniające żądania Gabriela w Nazarecie.

Zresztą sama Boża Matka podaje rękę swemu partnerowi i jakby koledze z egzaminu, gdy wymyknie go w swej radosnej modlitwie Magifikat: „pomny na miłosierdzie swoje, które zapowiedział Abrahamowi i potomkom jego, na wieki”. Wspomnienie Abrahama w domu Zachariasza przez Matkę Bożą poprzedziło modlitwę gospodarza domu, edmówioną po narodzeniu św. Jana Chrzciciela. Zachariasz wspomina go również. Ewangelista jednak dodaje, że musiał do tego dopomóc Duch Święty. Nie zdał egzaminu z wiary i przez to oddalił się od Abrahama bardzo daleko, tak daleko, że trzeba było pomocy Ducha Świętego, aby mógł wypowiedzieć imię największego męża Starego Przymierza, wobec którego okazał się karkłem.

Kuszenie Abrahama, przegrana Zachariasza z Gabrielem i argumentacja Archanioła w Nazarecie to trzy różne doświadczenia wiary ludzi, trzy egzaminy, z których najtrudniejszy zdaje Boża Matka. Z zestawienia tych trzech egzaminów wynikają ważne dla nas wskazania.

Czasowe kalectwo Zachariasza jest dowodem jakby nadmiara laski wiary oraz ostrzegawczym znakiem, że Bóg nie raz nie znosi sprzeciwu ze strony człowieka, ilekroć ujawnia mu swoje zamierzenia. Zachariasz odczuwa fizycznie autorytet „zniciertpliwionego” Boga. Jego kalectwo i nagle uzdrowienie stanowi bolesną pieczęć jakby Bożego zniewolenia człowieka, choć jedno i drugie jest równocześnie jakże niespodziewanym przejawem Bożej laski.

Doświadczenie Abrahama Pismo św. nazywa wręcz kuszeniem, wystawieniem na próbę całego myślenia, chęci i życia uczuciowego człowieka. Abraham uległ temu kuszeniu. Co to znaczy? Stał się bezwzględnie posłuszny Bogu, za cenę swego ojcostwa.

Odpowiedzią człowieka na kuszenie go przez Boga jest więc posłuszeństwo w sprawach, których pojęć nie możemy. Wiara jest ze strony człowieka aktem posłuszeństwa, wysiłkiem całego człowieka, wymaga mniejszych i większych od niego ofiar, czasem bardzo wielkiej. A na wielkie ofiary umie się zdobyć tylko wielkie serce, takie, jakie miał Abraham. Spróbujmy zrobić rachunek sumienia z naszego życia w wierze. Czy żądanie ofiary od nas przez Boga dorasta przynajmniej do jakiegosć ulamku wielkości Abrahamowej ofiary?

Wypróbowanie wiary Matki Bożej zbliża nam nową o niej prawdę, czy też nowe prawo, którymi Bóg obwarował wiare.

Wiemy, że ludziom Nowego Testamentu Bóg dostarcza argumentów, aby ułatwić im przyjęcie, utrzymanie i rozwój wiary. „Bo nie ma nic niemożliwego u Boga!” Oto motyw serdeczny, podany nam przez archanioła. Kto o tym pamięta, tego nie przeraża ani odstrasza żadne trudności w życiu wiary.

Ewangelista kończy opis naszego ważniejszego i pierwszego zdania czasów nowotestamentowych jakże prostym zdaniem: „Wówczas Anioł odszedł od niej”. Tak po prostu, bez pożegnania? Czy nie wypadło pożegnać się z Bogarodzicą równie uroczyste, jak odbyło się powitanie?

A jednak to bezceremonialne odejście Anioła jest równoznaczne z bardziej serdecznym siosunkiem Gabriela do Matki Bożej. Jest wyrazem najgłębszego zaufania Boga do Niej. Bóg przyjął wolę człowieka do władomości i ufa mu teraz całkowicie. Człowiek sobie teraz poradzi sam. Niepotrzebna mu obecność Anioła, czy jakiś sufler anielski, który mu będzie podpowiadał, co i jak zrobić, jaką iść drogą, komu się zwierzyć, przed kim wyzalić.

Jakże to jest w stosunkach między ludźmi? Kiedy człowiek czuje się najbardziej sobą, cieszy się i raduje swoją pracą? Wtedy, gdy mu przedłożony zleca jakiś (trudny) obowiązek do wypełnienia, dając go całkowitym zaufaniem. Nie raz mu to nawet powie wyraźnie: „Tę sprawę umie załatwić tylko pan szybko i składnie! Dlatego panu ją zleciłem.” Taka pochwała czy zachęta działa na nas zawsze dodatnio, wyzwała w nas radosną energię przy wykonywaniu zleconego nam obowiązku. Ra duje nas zaufanie przełożonego i jesteśmy gotowi ponieść nawet wielkie ofiary, aby go nie zawieść.

Coś podobnego oznacza nagłe zniknięcie Anioła. Matka Boża przybrała tak niezwykłą postawę wobec żądania Bożego, że jest godną największego zaufania ze strony Boga. Bóg zostawia ją teraz samą, wie, że Go nie zawiedzie. Bo wiara jest ze strony Boga aktem zaufania w stosunku do człowieka, aktem takiego zaufania, które wyzwała w nas radosne siły do wykonania zleconych nam zadań w życiu kosztem wielkich nieraz ofiar.

Ks. J. Gawor

NIEDZIELA STAROZAPUSTNA

Bierz, co twoje

Bo z królestwem niebieskim rzecz ma się podobnie jak z gospodarzem, który wyszedł wczesnym rankiem, aby nająć robotników do swej winnicy. Zgodził robotników po denarze na dzień i posłał ich do winnicy. Około godziny trzeciej wyszedł ponownie. I widział, jak lśni stali na rynku bezczynnie, więc powiedział do nich: Idźcie wy także do mojej winnicy; a dam wam, co będzie słuszne. A oni poszli. I wyszedł znów około godziny szóstej i dziewiątej i postąpił podobnie. A gdy wyszedł około jedenastej godziny, zobaczył innych, którzy tam wystawali. Zapytał ich: Czemu stoicie tu cały dzień bezczynnie? A oni odpowiedzieli mu: Bo nikt nas nie najął. A on rzekł im: Idźcie i wy do mojej winnicy. Gdy zaś wieczór nadszedł, rzekł pan winnicy do swego rządcy: Zwołaj robotników i wypłać im wynagrodzenie, a rozpocznij od ostatnich, przechodząc kolejno aż do pierwszych. Stawili się zatem ci, co przyszli około jedenastej godziny, i każdy otrzymał po denarze. Gdy zaś przystąpiłi pierwsi, spodziewali się, że otrzymają więcej, lecz oni również otrzymali po denarze. Otrzymawszy zaś zapłatę zaczęli szemrać przeciwko gospodarzowi i mówili: Ci ostatni tam pracowali tylko przez jedną godzinę, a równałeś ich z nami, choć myśmy znosili cały ciężar i upał dnia. On zaś zwrócił się do jednego z nich z tymi słowy: Przyjacielu, nie czynię ci krzywdy; czyż nie zgodziłeś się ze mną za denara? Bierz, co twoje, i idź. A ja chcę temu ostatniemu dać tyle, co tobie. Czyż nie wolno mi w swoich własnych sprawach tak postąpić, jak zechcę? Czy dlatego tylko zazdrośnym okiem patrzysz, że jestem dobry?

Tak to ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi. Bo wielu jest wezwanych, a mało wybranych.

Mat. 20. 1-16.

Litania wdzięczności

SERCU P. JEZUSA I MATCE BOŻEJ NIEUST. POMOCY za łaskę zdrowia dla dziecka, z prośbą o dalszą opiekę. St. K. Skawina, P. JEZUSOWI ułanemu w Najśw. Sakramencie Ołtarza, MATCE B. ROZANCOWEJ, św. ANTONIEMU za łaskę zdrowia krewnego i wiele innych łask, z prośbą o dalszą opiekę i łaski. S. W. Rokittnica. MATCE B. NIEUST. POMOCY, św. JÓZEFOWI, św. JUDZIE TADEUSZOWI za wysłuchane prośby. E. P. i A. K. Katowice. NAJŚW. SERCU P. JEZUSA, MATCE B. NIEUST. POMOCY, św. JUDZIE TADEUSZOWI, św. JADWIDZE za wysłuchanie prośby z prośbą o dalszą pomoc. J.K. Trzebnica.

T

ałą ciekawostkę historyczną podaje swoim czytelnikom Zwiastun Górnoszląski w roku 1868, a więc prawie że przed stu laty. Zaczyna ten tygodnik, jeden z pierwszych polskich pism na Górnym Śląsku, wychodził w Piekarach, ścisłej, tak jak chcieli urzędnicy pruskiej regencji, w „Niemieckich” Piekarach.

Jego naczelnym redaktorem był ks. B. Purkop, książe-biskupi komisarz i dzikan. Nakładcą i drukarzem oczywiście Teodor Heneczek, bez konkurencyjny na owe czasy wydawca. Zwiastun miał format Gościa Niedzielnego i tak jak Gość podawał swe informacje na ośmiu stronach. A kosztował w Państwie Pruskim dziewięć srebrnych groszy, a w Państwie Austriackim dziewięć fenigów. Natomiast na miejscu był tańszy, kosztował osiem srebrnych groszy. Trzeba pamiętać, że siła kupna tego srebrnego grosza była wielka; starzy ludzie dobrze pamiętają, że za pięć groszy można było skonsumentować solidnego śledzia. Tak więc, po konkretnym przeliczeniu, jeden numer Zwiastuna Górnoszląskiego kosztował tyło, co dwa słone śledzie. Raczej drogo.

Ale za to jakie wiadomości podawał Zwiastun za tych osiem — dziewięć fenigów! Tak ciekawe, że jeszcze teraz, po stu latach, są świeże i zaskakujące. I to nawet nie te z dalekiego świata, że w San Francisco trzęsienie ziemi, a w Moskwie przygotowania do wojny, o czym świadczy zakup 150 powozów lazaretowych w Warszawie, nie, dużo ciekawsze są informacje z własnego podwórka, z Chorzowa, z Rybnika, z Zabrze, z Raciborza, z Mysłowic, z Lublińca — o właśnie, choćby ta korespondencja z Lublińca. Kto by przypuszczał, że z Lublińca wyruszyło kilku ochotników do wojska papieskiego. Że „Górne Szlasko” kosztem pojedynczych osób i także niektórych parafii utrzymuje 22 żołnierzy w Armii Rzymskiej, płacąc rocznie 135 talarów na każdego żołnierza”.

A jaka była „linia ideologiczna” piekarskiego Zwiastuna?

Pewnie że wolilibyśmy, aby nie była tak czolobitna w stosunku do pruskiego cesarza Wilhelma, ale cóż, godło pruskie nie zdradzało jeszcze wtedy ponurych konturów swastyki, a sam Wiluś cieszył się miłym opieką chrześcijańskiego państwa.

Ale jak to właściwie było z tym pobytom papieża Klemensa VIII w Bytomiu? Otóż dla ścisłości dodać trzeba, że papież ten nie był jeszcze wtedy papieżem, został nim dopiero za trzy lata, ale poza tym wszystkie inne fakty historyczne siedzą mocno.

To było tak. Nasz bojowy i mądry kanclerz wielki koronny i hetman, Jan Zamoyski,

obronił Kraków przed obleżeniem austriackiego arcyksięcia Maksymiliana, który wyciągnął rękę po polską koronę. Zamoyski, jak nakazywała ówczesna racja stanu, posadził na polskim tronie Zygmunta III Wazę, a potem rozpoczął pościg za austriackim księżątkiem, które nie okazywało zadowolenia z takiego wyboru króla. Pod Byczyną (dziś pow. Kluczbork) Roku Pańskiego 1588 wojska Maksymiliana dostały solidne lanie, a on sam znalazł się w niewoli. Wielki kanclerz trzymał go przez rok w zamku krasnostawskim w ziemi chełmińskiej i byłby go tam pewnie dłużej gościł, gdyby nie interwencja cesarza Rudolfa II u papieża.

JADWIGA KUCLANKA

Papież Klemens VIII w Bytomiu

Nie było innej rady, papież Sykstus V wysłał swego legata do Polski, aby starał się o uwolnienie arcyksiążęcego więźnia.

Przybocznym legatemu papieskim był pięćdziesięciodwuletni kardynał, Hipolit Aldobrandini, który mając lat 55 został Klemensem VIII.

Dziennikarz — felietonista Zwiastuna Górnoszląskiego pisze, że w rękopisach Vallicellano w Rzymie przechowywana jest dokładna relacja poselstwa Hipolita kardynała Aldobrandiniego do Polski. Zajrzyjmy do tego rzymskiego diariusza posługując się żółtymi kartami Zwiastuna.

Droga kardynała — legata wiodła z Rzymu na Trydent, przez Tyrol, Linz, Wiedeń, Morawy i Śląsk.

Dwór kardynalski był wcale liczny, oto jak się prezentował: O. Jan Franciszek Bordino, teolog kardynalski, powie dzisiejszy kapelan. (O. Bordino głosił w Bytomiu przez cały post każdego dnia wieczorem kazanie). Michał Mercati, szambelan kardynalski, Monsignore Bianchetto i Monsignore Tolosano. Krewniacy kardynała, kapitan Franciszek Aldobrandini i siostrzeniec, Cinto Pissari. Liczne służby domowe, paziowie i żołnierze.

Na ostatnim etapie drogi zatrzymał się legat apostolski w Koźlu, skąd po odprawieniu bardzo ранней mszy świętej wyruszył na Bytom. W Bytomiu stanął późnym wieczorem dnia 30 grudnia 1588 roku.

Jak wyglądał nasz bytomski grod przed czterystu laty? Oto jak go ujrzeli i jak nam go wierszami przekazali przybysze z Włoch, z środowiska bogatego i wyrafinowanego pod względem sztuki i kultury użytkowej.

„Bytom w Szlasku, nad granicą Polski, jest to drewniane miasteczko mające tylko ratusz murywany, w którym

stanął Kardynał, ale ciasne miał mieszkanie, bo nie więcej tylko salkę... a co gorsza, bez drzwi, okien i pieców, co wszystko kazał dorobić własnym kosztem, wraz z kaplicą do odprawiania mszy w domu i kuchnią z desek na podwórzu. Mieszkańcy są prawie wszyscy lutrzy, prócz nie wielkiej liczby katolików, którzy mają kościółek za bramą, gdzie legat czasem odprawiał mszę, zaś monsig. Bianchetto i o. Bordino co dzień, acz bardzo niewygodnie, bo dla tegich mrozów trzeba było mieć ciągle na ołtarzu naczynie z węglem, żeby nie zamarzło w kielichu”.

Na lichą gospodę trafił przysły papież — bez drzwi, o-

kien i pieców, a do tego staropolska, mroźna zima.

Prócz dworu legata papieskiego stanął w Bytomiu i dwór austriacki, bardzo wielki i świetny, jak zanotował włoski skryba. Należało do niego ośmiu wysokich urzędników, komisarzy, którzy mieli swoich ordynansów. Na czele delegacji austriackiej stali: książę Sabionetta i dwaj biskupi, jawaryński i olomuński. Nazwisko tego ostatniego jest nam znane, ks. Pawłowski.

Czy i ten dwór dla większej wygody pobudował w Bytomiu piec, kuchnię i kaplicę, o tym kronikarz nie wspomina.

Wspomina natomiast, że nigdy przedtem Bytom nie był tak ludny, jak właśnie w czasie tych rozmów na wysokim szczeblu, między delegacją cesarza Rudolfa II i króla polskiego Zygmunta III, których wysokim arbitrem był sam legat apostolski.

Tak tedy obozowali w Bytomiu Niemcy, Węgrzy, Włosi, no i Polacy, a z uroczystym homagium, czolobitnym pokłonem, dojeżdżali do rzymskiego kardynała biskupi i wielcy panowie.

W Zwiastunie podano dokładnie, dzień za dniem, co działo się w Bytomiu w ową lutą zimę 1589 roku.

„Dnia 6 stycznia poszedł legat odprawić mszę św. w kościółku za bramą wraz z biskupami, olomuńskim i jawaryńskim, w towarzystwie swych dworzan i licznych katolików. Pamiętny to dzień świąteczny trzech Królów w rocznicach bytomskich!

Dnia 10 stycznia przyjmował kardynał pana Rozenberga, wicekróla czeskiego, mającego ze sobą do 400 koni i cokolwiek piechoty.

Dnia 21 stycznia powracającego z Będzina kardynała przyjmowali komisarze cesarscy z wielką kawalkadą w Bytomiu. (Trzeba tu dodać, że rozmowy dyplomatyczne

toczyły się częściowo i w Będzinie, dokąd legat papieski kilkakrotnie dojeżdżał).

Dnia 28 stycznia przybył wielki kanclerz, Jan Zamoyski, w towarzystwie dwóch magnatów polskich, trębacz, polskiej piechoty, Tatarów, hajduków i innych żołnierzy. Mieli na co patrzeć Bytomianie.

Dnia 7 lutego bawił kardynał w Będzinie, skąd nie czekając wieczery, w godzinę po zachodzie słońca wyjechał do Bytomia, gdzie dnia 9 lutego od wojewody wołyńskiego, Janusza, księcia Ostrońskiego otrzymał w podarunku łosia z Litwy, podobnego z wzrostu do konia, z kształtu do jelenia, z sierści do ośła, z nóg do wołu, a mającego mięso zbliżające się w smaku do bawolego. Część tego mięsa zawiązał kardynał do Włoch.

Podług swego zwyczaju pojechał kardynał dnia 12 lutego odprawić mszę św. do kościółka za bramą w towarzystwie niektórych komisarzy cesarskich. Gdy wracając pieszo przechodził przez środek placu, zbiegło się mnóstwo ludu przypatrywać się sukni kardynalskiej, jej ogonowi niesionemu przez paziów, prałatom w rękawach i innym osobliwościom, które bardzo zadziwiała mieszczan.

Tego dnia przypadła niedziela zapustna, każdy więc naród udał się wedle zwyczaju, lubo niedobrego, na zabawy. I tak Niemcy zaczęli pić po szynkach, Węgrzy nakładać maski i ścigać się konno, z Włochów jedni biegali do pierścienia, drudzy ucinali szyję gęsi, inni, przebrawszy się za błaznów, tańczyli balet, wyrabiali różne figle i sztuki łamane przy odgłosie lutni.

Mieszczanie przypatrywali się tym zabawom z wielką ciekawością.

Dnia 14 lutego kardynał posłał do Krakowa po postne pokarmy na wielki post, mianowicie po oliwę, której, lubo flaszka kosztowała 8 juliuszów, chciał, aby dwór jego nie jadł po polsku z oliwą, ale po włosku z oliwą.

W popielec, dnia 15 lutego poszedł kardynał do kościółka za bramą, gdzie odprawił mszę św. i posypał głowę popiołem wszystkim dworskim i katolikom miejscowym, na którą to ceremonię zeszli się nawet innowiercy.

Po mszy św., odśpiewawszy litanie, wrócił pieszo do domu z krzyżem niesionym przed sobą.

Kardynał piękny dał przykład katolikom bytomskim co do ścisłego zachowania katolickiego wielkiego postu.

Powróciwszy do Rzymu, wyniesiony został kardynał Hipolit Aldobrandini w roku 1592, zatem trzy lata później, do papieskiej godności pod imię-

(ciąg dalszy na str. 7)

Sella spoważniała. Spodobał jej się bardzo szlachetny oddech Goliata, którego portret w opowiadaniu Elama przybrał tak mroczny i zgola fałszywe rysy. Patrzyła na niego z upodobaniem. Chcąc zatrzeć przykre wrażenie, jakie spowodowała w nim szczegółem o udawanej chorobie Elama, zaczęła z lekka dopominać się wstępu do jego wnętrza. Kimże był ten olbrzym, którego czoła nie umiałyby dotknąć ręka, choćby się nie wiem jak wysilała? Cóż ukrywa się w jego oczach, na które — aby je móc teraz dojrzeć — musiała podnosić głowę wysoko. Spytała:

— Gdy wczoraj wróciłam do domu, uśmiechałeś się przez sen. Pewnie śniło ci się coś bardzo przyjemnego, prawda, Samgarze?

Pasterski odstępcą zmarszczył brwi:

— Czy widziałaś, że się śmiałem?

— Nawet gdyś się zbudził, byłeś jeszcze uśmiechnięty.

Samgar dotknął ręką czoła i patrzył spode łba na istotkę idącą obok niego. Powiedział:

— Coś mi się śniło, że skąś uciekał i znowu wracał. Ale nie wiem, skąd i dokąd.

— A z czegoś się śmiało?

— Nie pamiętam.

— Ciekawo, że ja też nie pamiętam swoich snów. Za to Elam opowiada mi codziennie, co mu się śniło. Żeby to ja choć jeden zapamiętała mogła. Czy ty nigdy nie zapamiętales ani jednego widzenia sennego?

Samgar nagle stanął, dotknął oburącz swego czoła, jakby sobie coś przypominał, i, spojrzawszy na Sellę, zaczął się głośno śmiać.

— Czy przypomniales sobie coś śmiesznego? Opowiedz mi, lubię się śmiać.

Goliat urwał śmiech i powiedział z wyraźną ulgą w głosie:

— Tak, przypomniałem sobie sen, bardzo śmieszny sen. Pamiętam go nawet dokładnie. Jeśli chcesz, mogę ci go opowiedzieć w całości.

— Jestem ciekawa. Ale nie stójmy w miejscu, idźmy dalej, a ty opowiadaj.

Ledwo Samgar zaczął mówić, Sella przerwała mu:

— Zaczekaj chwilę, tamci wracają z Betlejem. Zapytaj ich, czy nie wiedzą, gdzie szukać w Betlejem Galilejskich. Może trzymają się razem i wynajdą jakąś gospodę gromadnie.

Grupa pleciuchów zbliżyła się do nich. Samgar zapytał brodatego tłuszciocha:

— Czy jest kto między wami z Galilei?

— Nie, bracie — odsapnął jowialnie brodatec — my z pogranicza Galilei. Nasze rodzinne strony w słonecznej Samarii.

— Czy byliście w Betlejem?

— Właśnie stamtąd wracamy.

— Pewnie tam teraz wielki ruch? — wtrąciła Sella.

— Widziało się już więk-

szyl! — uspokoił ją nlehcący brodatec z Samarii nieco chęli pliwym głosem, — za to cenny tam są bardzo, bardzo wyśmiałe. Zarabiają na nas, jak tylko mogą.

— Cóż się dziwisz, stary — wmiechał się jego chuderlawy towarzysz podróży w rozmowę — spis ludności to nie bylejaką sposobność do zdzierstwa z obcych przybyszów.

Po chwili rozmowa rozwinęła się w przyjemny gwar o nowościach politycznych, nowych podatkach związanych ze spisem ludności, plotkach, krążących wokół pałaców Heroda i intrygach rzymskich; padały dowcipy na temat cesarza i jego namiestników. Najgłośniejszym śmiał się brodatec, trzymając się oburącz

Wrócił do gospody. Spożywszy posiłek, ruszyli w powrót na drogę. Sella, pogrążona w milczeniu, cicho uśmiechała się do siebie. Samgar pytał się do ducha: „Czy to ta sama kobieta, z którą wyszedłem z Jeruzolimy? Czemu nic nie mówi? Pewnie jest zmęczona i odeszła ją ochota do rozmowy.” Śledził ją bacznie. „Czemu się ciągle uśmiecha?” Mierzilo go to nieznośne milczenie. Wreszcie odezwała się:

— Miałeś mi opowiedzieć swój sen, Samgarze. Przeszkodził nam.

Zbiegły pasterz był zadowolony. Opowiedział jej swój sen. Jak pewnej nocy czuwał wraz z innymi pasterzami nad trzodami i nagle otoczyła ich

MAURZYŃ ORKA

(7)

SAMGAR I SELLA

za tłusty brzuch i kiwając swą brodą ruchem wahadłowym, jakby usiłował zakazać sobie samemu słuchania kawałów, obrażających wysokie, nietykalne władze rzymskie. Samgar tylko słuchał i podziwiał wymownych rodaków. Wzięli go pewnie za rzeszczucha, widząc jego schlaną dny strój i nie podejrzuwając, że nie był jego własnością. Sella notowała wszystko chęli w swojej pamięci, tu i tam zachęcając obce towarzystwo swoim sympatycznym śmiechem do coraz dowiecniejszych uwag i powiedzonek.

Nikt z nich nie zauważył dwóch samotnych przechodniów, którzy minęli ich w odległości kilku kroków. I gdyby nie zaczął padać deszcz, brodatec zabawiłby Sellę i Samgara coraz zabawniejszymi anegdotkami, którymi nie ustannie tryskały jego grube wargi. Pożegnali się wśród ogólnego rozweselenia, choć deszcz nie zachęcał ich wcale do weselości. Ale cóż? Deszcz dotyka tylko naszkórka, nie ma dostępu do pogody ducha, ani do jego zachmurzeń.

Sella i Samgar przyspieszyli swój marsz. Dotarli do Betlejem, zanim było południe. Bez trudności dowiedzieli się od karczmarza, gdzie szukać domu, w którym mieszkał Galilejski z swoją młodą małżonką i małym dzieckiem. Wiadomość o dziecku uradowała Sellę bardzo. Nie zdążyła jednak swej radości. To tajemnica między nią i Elizabą. We wskazanym domu nie zastali niestety nikogo. Są siedzi powiedzieli, że młodzi małżonkowie poszli prawdopodobnie do świętego miasta.

— Daremna droga! — powiedział Samgar — szkoda twoich nóg.

— Nie moich, ale twoich — zmartwiła się Sella — gdzie ich teraz szukać w Jeruzolimie? Musimy szybko wracać. Kto wie, czy aby nie poszli do Zachariasza?

światłość wielka. Pokazał się Anioł i przemówił do nich dziwnie.

— Kto się pokazał? — przerwała mu Sella zdumionym głosem.

— Powiedziałem, że Anioł — odparł z humorem Samgar.

— Jak się nazywał?

— Tego niestety nie zdradził. Nie miał zresztą powodu do tego.

— Czy nie pamiętasz, co wtedy mówił?

— Mówiłem ci już, że pamiętam każdy szczegół tego snu.

— Czy opowiesz mi wszystko dokładnie?

— Wszystko!

Samgar mówił:

— Gdy ujrzałem jasność wokół siebie, strach przeszył mnie do szpiku kości. Bo to była jasność, wiesz taka, jakiej nigdy jeszcze nie widziałem ani na ziemi, ani na niebie, takie jakieś światło, co niby chce cię uradować, a w rzeczywistości straszy i przeraża, że nie wiesz, dokąd uciec przed nim. I co najdziwniejsze, to była światłość, rozumiesz, bez cienia. Sama przyznasz, że to głupstwo, że to tylko możliwe w sennym widzeniu. Serce waliło mi jak młot, gotowe stanąć lada chwila. I już myślałem, że mnie ten strach zabije, gdy zjawił się Anioł. Przemówił do nas w te słowa: „Nie bójcie się, zwiastuję wam wielką radość, którą cieszyć się będzie cały lud. Dziś narodził wam się w mieście Dawida Zbawiciel, który jest Chrystusem Panem. I taki znak tego: znajdziecie Dziecię owinięte w pieluski i złożone w żłobie.” Ledwie Anioł skończył przemowę, ujrzałem nad nim zastępy niebieskiego wojska. Muszę przyznać, że tego jeszcze nie widziałem nigdy. I słyszałem, jak ci Aniołowie śpiewali dziwną pieśń. Rozumiałem każde słowo dokładnie. Śpiewali: „Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój

ludziom, którzy dostąpili Jego łaskawości!” Śpiew brzmiał potężnie, pięknie i radośnie. I znowu myślałem, że mi serce stanie z radości nad tym śpiewem. Potem jasność zgasła, Aniołowie zniknęli mi sprzed oczu. Widziałem przed sobą tylko ciemną plamę mojego stada, jak przedtem. Pasterze zlecieli się do mnie, Tolmaj mówi: „No co, chłopcy, idziemy do Dawidowego miasta, aby przekonać się na miejscu o tym, cośmy słyszeli?” Jeden przez drugiego mówił: „Idziemy! Gromadą! Wszyscyśmy widzieli i słyszeli, pójdziemy wszyscy!” Powiedziałem i ja: „Jeśli iść, to zaraz albo nigdy! Na co czekacie? W drogę!” Szliśmy bez mała pół godziny. Stanęliśmy przed pustą oborą, gdzie dawniej zapędzaliśmy trzodę w razie niepogody. Zatrzymało nas przed nią światło. Któż tu może być o nocnej porze? Każdy wiedział, że tu nikt nie nocuje nigdy. Pierwszy wszedł Beniamin, najstarszy z nas. Po chwili kiwnął nam ręką: Chodźcie, stan!

Samgar stanął.

Sella, urzeczona opowiadaniem, patrzyła na niego, jakby on sam był aniołem. Gdy tylko usłyszała o naglej jasności, rozbliżyły w jej pamięci jak błyskawica słowa Zachariaszowej modlitwy: „który nawiedził nas w światłości niebiańskiej, by oświecić tych, którzy są w ciemnościach”. I w ciągu całego opowiadania wciąż jaśniały w jej wyobraźni na kształt naglej zorzy, jasne rano zapowiadającej. Była pewna, że Samgar nie mówi o śnie, ale o rzeczywistości, jawnej i pewnej jak ich powrotna droga z Betlejem do miasta.

Uderzał ją jednak głos, jakim opowiadał wszystkie przedziwne i wręcz cudowne szczegóły. Początkowo brzmiał płochy, lekkomyślnie nawet. Po chwili zmienił mu się zupełnie. Stał się bardzo wyraźny i natarczywy, poważny i jakiś śpiewny. Chwilami здавало się, że to nie głos Samgara, lecz tonacja kantańskie czytania Proroków, słyszana tyle razy w krągankach świątyni.

Nie mogła tylko dojrzeć jego oczu. Patrzył przez cały czas przed siebie. Czy w jego oczach paliła się ta sama jasność, którą świeciły jego słowa?

Teraz, gdy stanął, szeptała swe ulubione wersety modlitwy kapłana z Aina Karim: „Ludowie! Jego dasz poznać zbawienie...”

Pestawiała pod bylejakim pozorem zniewolić go, aby usiadł. Chciała mieć jego oczy przed sobą, patrzeć w nie bez przerwy, aby pozyskać pewnych, jak najbardziej osobistych świadków jego słów, pełnych niezwykłej piękności i światłości. Nie potrzebowała jednak użyć pozorów na to, by usiadł. Samgar zdjął płaszcz, rozłożył go na płaskim kamieniu, jakby ławka sterczącym z ziemi tuż obok drogi i rzekł:

(ciąg dalszy nastąpi)

Dobroć

Każdy z nas jest nie tylko bierną, przyjmującą rolę, na której, kto chce i co chce, może. Każdy z nas jest równocześnie siewcą.

Rozsiewa dobre albo złe słowo, dobry, albo zły czyn. Jest owym ewangelicznym gospodarzem-siewcą dobrej i pięknej pszenicy, albo tym nieprzyjaznym człowiekiem, rozsiewającym skrycie wstępną i niepożądaną kąkol. Jest biblijnym drzewem szlachetnym rodzącym dobre owoce, albo drzewem dzikim, dającym złe owoce.

Tę starą prawdę, wyrosłą na glebie życia, w szkicowym i syntetycznym rzucie maluje wybitny pedagog G. Kerschensteiner: „Każdy człowiek jest wychowawcą drugiego w dobrym czy złym. Życie żadnego człowieka nie przemija całkowicie bez wpływu na ludzkie otoczenie i potomość.

Przyczyny tego stanu rzeczy należy szukać w tym, że jesteśmy obdarzeni przywilejem wolności. Przywilej ten stwarza i stawia przed nami dwie możliwości: możliwość pięcia się w górę albo opadania w dół. Korzystając z tego przywileju możemy nasze myśli, słowa i czyny włączyć, wprząc w służbę dobra lub w służbę zła. Od nas dużo zależy, jaki będzie styl naszego osobistego życia, a nawet do pewnego stopnia i naszego środowiska.

Jest w naszej mocy, wsparć Łaską Bożą, nadać temu życiu doczesnemu styl nadprzyrodzony — Chrystusowy,

będący błogosławieństwem za równo terażniejszości jak i przyszłości. I jest w naszej mocy, wsparte siłami piekielnymi, nadać mu styl grzesznych przerażających, który zamiast atmosfery pokoju, ładu i zgody wniesie w życie lzy, ból, cierpienie, śmierć... Nie na darmo autor natchniony mówi: „Przed człowiekiem żywot i śmierć, dobro i zło, co mu się podoba, będzie mu dane”. (Eklez. 15 r.).

Podstaw i źródeł tej dwukierunkowości w postępowaniu ludzkim, tego tragicznego rozdarcia należy szukać również w tym, że nasza natura skażona i obciążona fatalnymi skutkami grzechu pierworodnego jest w istocie swej słaba i grawituje raczej ku złu, niż ku dobru. Lgnie na drogę łatwizny i osobiste wygody, okupionej niejednokrotnie podeptaniem i pogwałceniem elementarnych zasad współżycia z bliźnimi.

Trzeba przyznać i powiedzieć sobie jasno, że natura ludzka nie jest tak dobra, jak mniemał Rousseau — ani tak zła, jak sobie wyobrażali różnego pokroju pesymiści. Człowiek nie jest ani wielonym aniołem, ani też diabłem. Może być w nim coś z pierwszego i coś z drugiego... W zasadzie człowiek jest tylko człowiekiem.

Dlatego chrześcijanin, patrząc na swą i swych braci naturalną słabość, nie ograniczy się do bezczynnego, pesymistycznego załamania rąk i biadolenia nad własnym losem, bo on wie, że do rozwiązania i wydobycia się z tej matni, doda mu sił sam Bóg w komunii św. On uświa-

damia sobie, że sam niewiele może. Ale „wszystko może w Tym, Który go umacnia”. Katolik wierzy niezłomnie, że gdy jego natura będzie zakotwiczona w łasce Bożej, to będzie mógł z pewnością praktycznie realizować trudne, programowe wyzwania Pawłowe: „Nie daj się zwyciężać złu, ale zło dobre zwyciężaj” (Rzym. 12. 21).

My, wyznawcy Chrystusa nie możemy rodzić zła. My mamy za wszystko płacić do broci. Płacić dobrocią za dobro, ale też i za zło. My mamy żyć dobrocią. I to żyć nie tylko na jeden, ale na wszystkie siedem dni tygodnia. Mamy mieć dobroć nie tylko na ustach, ale i w sercu — nie tylko w teorii, ale i w praktyce. Wszak wzorem i przykładem tej czynnej dobroci jest dla nas Boski Zbawiciel, którego życie i naukę Ewan-gelista streścił z iście spartańską lakonicznością w trzech trzech słowach „przeszedł do brze czyniąc”.

A więc bądźmy apostołami dobroci. Nieśmuj ją w życie codzienne. Niech jej będzie coraz więcej w domach, szkołach, urzędach, pociągach na ulicach i w ogóle w każdym zakątku polskiej ziemi. Niech Polska będzie krajem dobrych ludzi... Bóg i ludzkość, Kościół i Ojczyzna chcą nas widzieć i mieć dobrymi. Na dobroć z naszej strony czeka nasza matka, nasza siostra, nasz ojciec, nasz brat, nasi najbliżsi. Czekają wszyscy.

Każdy nasz dobry czyn — choćby najdrobniejszy — będzie błogosławionym zaczynem jutra i małą cegielką pod fundament wzajemnej miłości, braterstwa i pokoju.
Ks. Wł. Kaczmarek

CODZIENNA MSZA ŚWIĘTA

Niedziela, 18 lutego
Siedemdziesiątnica — Msza własna (bez Gl.) Cr. Prof. Trójcy „Ite missa est” — kol. fioleto-owy. Od dziś aż do Wielkanocy opuszcza się Alleluja, gdziekolwiek by było.

Przy 4-godzinnej Adoracji: Wot. wa z Bożego Ciała. Gl. Cr., ale bez żadnych Alleluja i bez Sekwencji Prof. Trójcy! (kol. biały).

Poniedziałek, 19 lutego
Msza zeszej niedzieli, bez Credo, Prof. zwykła — Graduał skrócony — kol. fioł. (Wotywa z Bożego Ciała i jutro nie ma Credo. Prof. zwykła).

Wtorek, 20 lutego
Msza zeszej niedzieli, bez Cr. Graduał skrócony. Prof. zwykła — kol. fioł. Przy 40-godzinnej Adoracji: Wotywa Bożego Ciała jak wczoraj — kol. biały.

Środa, 21 lutego
Msza z niedzieli — jak wczoraj — kol. fioł.

Czwartek, 22 lutego
Stolicy św. Piotra (2 kl.) — Msza własna Gl. 2 or. św. Pawła, Cr. Traktus. Prof. o apostołach — kol. biały.

Piątek, 23 lutego
Św. Piotra Damiana, bisk. dokt. — Msza „In medio” Gl. Traktus — kol. biały.

Sobota, 24 lutego
Św. Macieja apost. (2 kl.) Msza własna. Gl. Cr. Traktus. Prof. o apost. — kol. czerw.

Niedziela, 25 lutego
Szesćdziesiątnica — Msza własna (bez Gl.) Cr. Prof. Trójcy — kol. fioł. Przy 40-godzinnej Adoracji: Wotywa Bożego Ciała. Gl. Cr. bez Alleluja i bez Sekwencji. Prof. o Trójcy św. — kol. biały.

Odwołany do wieczności

Sp. ANTONI GIBLOTKA
w 41 r. życia, zaopatrzony św. Sakramentami † 20.I.1962 r. w Mikołowie.

OGŁOSZENIA

Niewiasta samotna w średnim wieku poszukuje pracy na probostwie w charakterze gospodyni. Zgłosz. w redakcji.

Potrzebna pomoc domowa do Warszawy. 4 dorosłe osoby, wszystkie wyśledzone. Referencje konieczne. Zgłosz. ofert. Warszawa, ul. Lwowska 6, m. 15 inż. Majewska lub osobicie Katowice, ul. Powstańców 35, m. 5.

Sprzedam harmonium „Bonard” w dobrym stanie. Zgłosz. Świętochłowice 5. (Pianiki) ul. Bytomska 44 m. 2. p-ta Lipiny tel. 415-05.

Fisharmonia w bardzo dobrym stanie jest do sprzedania. Wiadomość: M. Jasiński Kalisz ul. Kanoniczna 4 m. 3.

Różnokolorowe, wielkokwiatowe piękne kwiaty gladioli-mieczyczków wyhodujesz tanio, zamawiając listownie parę 10 deko małych cebulek albo wysyłając 25.— zł. Wysłać zarys z pocztorem: H. Dowdla Mieczyczków p-ta Kalinowa k. Kalisza.

Rząd Indyjski zamianował dotychczasowego swego ambasadora w Brukseli Mohammeda Rauffa posłem przy Stoicy Świętej.

W Nairobi stolicy Kenii kardynał afrykański I. Rugamba udzielił skrup biskupiej delegatowi apostolskiemu na Afrykę wschodnią Mons. G. del Maestro oraz delegatowi apostolskiemu na Madagaskar Mons. F. Pirozziemu. Wsułi kowcekratorami byli także czarni biskupi tubylczy z Njassy i Sudanu.

Nie lubię patrzeć, jak mama płacze

(dokończenie ze str. 3)

swej rodziny. Czasem wpadał w stan ponurco przynębnia, innym razem znów szepotał żarliwie modlitwy. Na myśl, że Róża mogłaby umrzeć, ogarniała go rozpacz.

Po kilku dniach nastąpiło przesilenie choroby. Róża przestała majaczyć i zaczęła powoli odzyskiwać siły. Wraz z jej powrotem do zdrowia, pierzchnął smutek i ponury nastrój, który w ciągu ostatnich dni gościł w domu. Na

twarzach domowników zagościł spokój, na ustach uśmiech.

Pewnego dnia Róża poprosiła ojca, by usiadł przy niej, i wtedy zwróciła się do niego z pytaniem:

— Prawda, tatusiu, że będziesz znowu taki dobry, jak byłeś dawno, dawno temu?

— Tak, córeczko, — odpowiedział wrzuszony — będę odtąd zawsze dobry i zawsze będę cię kochał.

— Bo ja nie lubię patrzeć, jak mama płacze. Dlatego byłam się wtedy modlić, abyś ty wrócił i aby mama już nie płakała.

dyplomatycznej i zawarł w dniu 9 marca 1529 roku tak zwaną w podręcznikach historii bytomsko-będzińska umowę, mocą której arcyksiążę Maksymilian zrzekł się wszelkich praw do korony polskiej.

Kardynał M. Felin, arcybiskup Paryża, powołał do życia diecezjalny sekretariat dla spraw jedności chrześcijan. W ten sposób kardynał pragnie ułatwić duchowieństwu i wiernym udział w tym nadzwyczaj ważnym apostolacie.

Muzeum ikon w Recklinhausen w Zagłębiu Ruhry posiada pokątny zbiór tych wczesno-chrześcijańskich obrazów religijnych. W muzeum znajduje się obecnie ponad 450 ikon.

400-lecie reformy Karmelu

Na inaugurację obchodów 400 rocznicy reformy zakonów karmelitańskich przez św. Teresę główny przełożony Karmelitów Bosych O. Anastazy od Różańca Św. wygłosił w dniu 30 grudnia przez radio watykańskie odczyt na temat znaczenia tej reformy, która jak wiadomo rozpoczęła się w Hiszpanii w mieście Avilla w roku 1562. Stwierdziwszy, iż minione cztery wieki dziejów sięgają swymi korzeniami do Kościoła odnowionego postanowieniami Soboru Trydenckiego oraz swój szczytowy punkt znajdując w II Watykańskim Soborze Powszechnym, Ojciec Anastazy oświadczył, iż reforma św. Teresy nawracała do pierwotnych ideałów kontemplacyjnych i apostołskich. Kończąc omówił na przygotowywane uroczystości jubileuszowe, które odbędą się w bieżącym roku na całym świecie.

Wyd. Kuria Diec. Katowice. — Redaktor Ks. dr Józef Gawor — przyjmuje we wtorki i piątki od godz. 11-13 — adres redakcji i administracji. Katowice ul. Wita Stwosza 10. II p., tel. 314-07. Prenumerata mies. 2,60 zł. kwart. 7,80 zł. — Kolportaż „Ruch”. Katowice, ul. 15 Grudnia 10 Nr konta PKO 3-613763. Prenumerata zagraniczna kwart. 10,95 zł. półrocznie 21,35 zł. — przyjmuje „Ruch”, Warszawa, Wileza 46 ☎ 0-1-610224. Nakł. 90 000. Czyst. Zakł. Graf. Cz-wa N.M.P. 52. Cena 0,60 zł. zam. 241 25. I. 62 G-140

Papież Klemens VIII w Bytomiu

(dokończenie ze str. 5)

niem Klemensa VIII. Co za zaszczytna dla Bytomia pamiątka!”

Tak, pamiątka na pewno za szczytna i stąd warta odświeżenia. Przecież warto wiedzieć o tym, że jeden z papieży był w Polsce, na Śląsku, w Bytomiu, gdzie podejmowano go sarmackim specjałem, prawie że narodowym, pieczenią z dzika.

Dla historycznej ścisłości dodajmy, że kardynał wywiązał się z powierzonej mu misji

moj kościół parafialny

Już dość dawno zauważyłem, że Bronka w niektórych sprawach zdradzała zupełnie brak krytycyzmu, wypowiadała poglądy wysoce naiwne, a nawet gorsząco błędne. Ilekroć próbowałem ją przekonać o konieczności zaniechania samowolnego rozstrzygnięcia nieporozumień z sąsiadami, natrafiałem zawsze na jej sprzeciw, hałaśliwy i brzemienny w niedobre skutki. Dużo czasu, a wlicząc jeszcze wysiłków kosztowała mnie praca nad tym, aby opanowała swoją niekawość i wyzbyła się jawnej skłonności do bardzo subtelnego snucia intryg. Dziś widzę, że pracuje nad sobą w tym kierunku i jest daleko spokojniejsza niż wtedy, gdy Staszek miał cztery lata, a ona nieustannie niepokoila mnie jakąś zwadą z wszystkimi lokatorami po kolei od parteru aż po sam strych za czwartym piętrzem naszego domu.

Bronka ulega również bezkrytycznie takiej czy innej opinii panującej wszechwładnie co do niektórych spraw, wymagających wiele ostrożności w ich przyjęciu. Sam nie wiem, czy przyczyną tego jest jej uczuciowe przewrażliwienie, chwilowy nastrój, bezmyślność czy też wrodzona cierność.

Wczoraj byłoby doszło do sprzeczki między nami. Kościół niedługo, zarzewiem wojny była sprawa autorytetu księży. Twierdziła, jakoby księża nie mieli żadnego prawa do mieszania się w zagadnienia rodzinne i małżeńskie.

— Dlaczego? — protestowałem z oburzeniem.

— Bo sami nie mają rodziny! — odparła beztrąsko, zjadając smacznie kompot, który jej przyniosłem od mojej siostry.

— To ich właśnie najbardziej kwalifikuje do poruszania i rozstrzygnięcia spraw małżeńskich i rodzinnych.

— Mówisz nie do rzeczy! Ksiądz stale jest sam, to odłudek, któremu obec są radości i smutki rodzinne. Nie ma o nich żadnego pojęcia. Jakże więc może zabierać głos w nie swoich sprawach?

— Według ciebie tylko ten lekarz, który sam jest gruźlikiem, może leczyć chorego na płuca, a jeżeli chory na płuca jest czy był w dodatku lotnikiem, i lekarz musi być lotnikiem, zanim przystąpi ze swoją poradą lekarską do swego pacjenta. Powiedz sama, czy to nie jest bzdura?

— Ale lekarz to zupełnie co innego! — skrzywiła usta, patrząc na mnie z politowaniem.

— Pozwólże mi skończyć! Rozważ! Ilekroć lekarz zamierza przeprowadzić operację, używa tylko narzędzi, które są najdokładniej odkażone, doskonale czyste. Używa więc najczystszych narzędzi do bardzo brudnej roboty, jak w wypadku potężnego ropniaka na szyi czy ręce.

— Ależ co to ma wspólnego ze sprawą?

— Jakaś ty niecierpliwa! Powiedz mi, jakiej wody używasz do prania brudnej bielizny? Czystej? Prawda? Bo czysta woda z właściwymi dodatkami jedynie gwarantuje skuteczne wypranie brudów. Podobny stosunek zachodzi między księdzem a rodziną. On sam, nie mając rodziny, jest podobny do lekarza, a jeśli ktoś chce do doskonałego odkażonego narzędzia lekarskiego, czy czystej wody, i spełnia podobne zadanie w stosunku do małżeństwa i rodziny. Nie trzeba być żonatym, aby dobrze znać wszyst-

kie objawy radości i smutków w rodzinie. Nie trzeba mieć dzieci, aby doskonale orientować się w sprawach wychowawczych. Ksiądz jest dla mnie w sprawach rodzinnych jedynie obiektywnym autorytetem, który potrafi zdobyć się na bezstronną ocenę takich czy innych trudności małżeńskich czy rodzinnych. Czy to nie jest oczywiste?

Zamilkła. Nie wiedziałem, czy na znak potwierdzenia mojego poglądu, czy bezgłośniego protestu. Zamilkłem również. Po chwili weszła do przyległego pokoju i coś tam myszkowała w szafie. Wróciła z niedzielnym ubraniem Staszka na ręce. Zabrała się do wyczyszczenia go po słotnej niedzieli. Nagle wypadła z ubrania jakaś kartka. Podniosła ją i buchnęła śmiechem.

— Patrz, jaki z naszego Staszka czujny strażnik swoich tajemnic.

Trzymałem w ręku kartkę z zeszytu złożoną starannie na sposób koperty. Na środku duży napis: „Baczość, grzechy!” Buchnąłem również śmiechem.

— Włóż mu to tam, gdzie było.

— Czy nie jesteś ciekawy jego grzechów? Czemu nie przeczytaś ich sobie?

— Nie mam do tego żadnego prawa! Nie jestem księdzem.

— Przede wszystkim ja bym ci na to nie pozwoliła! — rzekła porywczo, chwytając po śpiesznie statystykę grzechów Staszka do kieszeni jego ubrania.

Podobało mi się jej wystąpienie w obronie Staszkowych grzechów, choć znałszy je przecie oboje na pamięć.

— Są sprawy, które można powierzyć tylko księdzu.

— Grzechy na pewno! — rzuciła z błyskiem w oczach.

— I cały szereg spraw rodzinnych i małżeńskich, moja pani!

Adam Olszyna

NASI ŚWIĘCI

ANTONI ze Stronconio błog. wyzn. * 7 lutego

W młodym wieku wstąpił do zakonu. Stał się gorliwym członkiem Zakonu OO. Franciszkanów, przyjmując na siebie dobrowolnie dużo umartwień. Zmarł w r. 1471 w Asyżu.

ANTONI z Kauleas św. bp * 12 lutego

W 12 roku życia wstąpił do klasztoru niedaleko Konstantynopola i był później jego opatem. Po śmierci patriarchy Stefana został obrany patriarchą Konstantynopolitańskim, dążąc do przywrócenia jedności Kościoła. † w r. 901.

ANTONI z Saksonii błog. męcz. * 12 lutego

Razem z 4 innymi franciszkanami poniósł śmierć za wiarę katolicką w r. 1369 w mieście Vidin (dziś Bułgaria).

ANTONI św. męcz. * 14 lutego

Razem ze św. Bassusem i św. Protolikiem znalazł śmierć męczeńską w głębinach morskich niedaleko Aleksandrii. Czas nieznan.

ANTONI św. wyzn. * 20 lutego

Czczony w Etiopii — brak bliższych danych

ANTONI z Froidemont św. wyzn. * 8 marca

Mnich z Luxenil, potem pustelnik czczony we Francji. Data trudna do ustalenia. Prawdopodobnie VI wiek.

ANTONI z Mediolanu błog. męcz. * 15 marca

Głosił z dwoma innymi towarzyszami kazania w Armenii, wszyscy zostali tamże zamordowani za wiarę w r. 1286.

ANTONI DANIEL błog. męcz. * 16 marca

Kapłan z zakonu OO. Jezultów, zginął za wiarę dnia 16 marca 1649, zamordowany przez Indian ze szczerpu Iroczków. Beatyfikowany przez Piusa XI w r. 1925.

ANTONI de Patrizzi bl. wyzn. * 28 marca

Mnich augustiański w klasztorze w Monticiano. † 1311. Kult zatwierdził Pius VII w r. 1804.

ANTONI PAVONI błog. męcz. * 9 kwietnia

Dominikanin, zabity przez herezyków w miejscowości Brichera, w r. 1374 po kazaniu, jakie wygłosił w kościele. Pius IX zatwierdził jego kult w r. 1856.

ANTONI NEYROT błog. męcz. * 10 kwietnia

Dominikanin, wysłany na misję do Tunisu zaparł się wiarą i ożenił się. Po 5 miesiącach, żalując odstępstwa przywdział znowu habit zakonny i śmiało wystąpił, głosząc Chrystusa wobec beja Tunisu. Dlatego też w r. 1460 poniósł śmierć męczeńską. Ciało przewieziono do Rivoli k/Tunisu, gdzie doznaje wielkiej czci.

100 lat różańca w rodzinie

W tych dniach zmarła we Włoszech w wieku 85 lat Maria Mc Namara, ostatnia z „jedenastki różańcowej rodziny”. Jej rodzice Patryk i Katarzyna uczynili w dniu swego ślubu w r. 1861, postanowienie wspólnego odmawiania różańca w rodzinie. Naprzód odmawiała go rodzicielska dwójka, a następnie raz po raz ktoś z dzieci się dołączał, aż w końcu grono się powiększyło do jedenastki: 8 synów i 1 córka. Z biegiem czasu stale ktoś

schodził z trasy różańcowej z różańcem w rękę. Pozostała wreszcie ostatnia ze sztafety, najstarsza z rodzinnego chóru różańcowego, aby po stu latach ziemskiego różańcowania przenieść się do różańcowego Świętych Obcowania.

Jednego tylko nie dało się stwierdzić, czy mianowicie państwo różańca także chlubić się mogły 100-letnim jubileuszem.

„BEZKRÓLEWIE”

Nowy film o tematyce przeciwalkoholowej.

Plaga przyjęć wśród młodzieży szkolnej, tzw. „prywatów” obficie zakrapianych alkoholem znalazła wreszcie swój typowy obraz w wyświetlanym obecnie filmie

„Bezkrólewie”, reż. W. Borowika, op. Zb. Raplewskiego.

Film ten można nazwać raczej ostrzegawczo-profilaktycznym niż sensu stricto propagandowym. Metoda profilaktyki przy pomocy interesującej fabuły — jak wykazała prak-

tyka z dwóch poprzednich filmów daje najlepiej dotąd notowane wyniki w sygnalizowaniu niebezpieczeństwa konsumpcji nawet niskoprocentowego alkoholu przez młodość.

„Bezkrólewie” niezależnie od wyświetlania w normalnych kinach powinno być wyświetlane w szkołach, ośrodkach kulturalnych, Domach Kultury, na wszelkich kursach skupiających młodzież zarówno szkolną, jak i w wieku do 21 lat.

Warto żeby film ten zobaczyli również rodzice nie zawsze dobrze poinformowani o „rozrywkach” swych „pociec”

Wypadki zobrazowane przez film są zwykle, codzienne, lecz właśnie w tym tkwi ich siła oddziaływania — jak najszersze masy widzów. Tak więc po prasie i radiu film włączył się aktywnie do walki z plagą alkoholizmu.